Nr. 12. Kraków, 1 Listopada 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

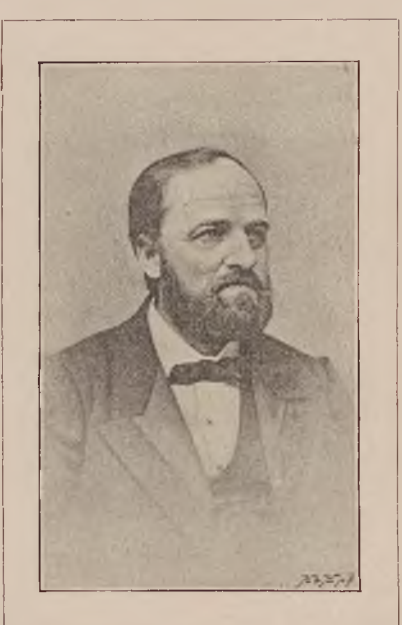
Dr. ADRYAN BARANIECKI.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

Śmierć obfite u nas zbiera żniwo. Szeregi ludzi zasługą i rozumem wielkich przerzedzają się coraz dotkliwiej, a straty te są tem cięższe i boleśniejsze dla społeczeństwa, że nie wiedzieć, kto zastąpi schodzących z widowni życia, kto obejmie umilkłą po Bekwarkach lutnię.

Zaledwieśmy oddali ziemi Kopernickiego, a już na kartach żałobnych wypisano nazwisko Adryana Baranieckiego.

Wielkie to imię! Streszcza ono w sobie długoletnią, jedyną u nas, a tak wytrwałą i niezmordowaną pracę ku podniesieniu umysłowego poziomu kobiet, tworzy epokę w historyi oświaty długiego szeregu „kapłanek domowego ogniska“. I pomyśleć tylko, że ten człowiek o własnej sile, bez jakiejkolwiek pomocy wziął się do syzyfowego dzieła: niesienia pochodni światła tam, gdzie do niego ciemność panowała zupełna!



Jako lekarz jeździł po świecie, gromadził zbiory przemysłowe i etnograficzne, na obczyznie podnosił ducha wśród kolegów, uczył ich łączyć się dla wspólnego dobra i pożytku nauki, potem sam służył Ojczyźnie, a wróciwszy do kraju nie spoczął na laurach, nie sięgnął po zaszczyty, lecz wszystko co zebrał ofiarował miastu i jął sobie pomnik za życia budować: stworzył wyższe kursa dla kobiet, które w ciągu 23 lat wydały przeszło 2.200 wychowanek, kształconych w dobrej szkole i pod wytrawnym kierunkiem.

Ziarno, rzucone przez śp. Baranieckiego na krakowską ziemię przyjęło się, zaczęło kiełkować i wydało plon dość obfity, szkoda jeno, żeśmy najmniej z tej siejby zebrali, żeśmy się dali wyprzedzić: Litwie i Kongresówce.

Faktem jest (mówił mi to nieboszczyk), że galicyanki dostarczały najmniejszego kontyngensu uczennic. Panie z zakordonu spieszyły do grodu Jagiellonów po strawę duchową, bo tutaj pełniejszą oddychać mogły piersią i znajdywały ojcowską opiekę w światłym i na ich usługi oddanym Mężu, który odczuwał młodych serc bicia i pojmował młodych umysłów dążenia. U nas bywało inaczej. Korzystne warunki polityczne sprawiły to, że kobiety mniej się refleksyi poddawały, że nie rzucały okiem po za rogatki miejscowe lub po za słup graniczny, lecz zasklepiały się w ciasnem kole codziennych zadań i potrzeb, bo im tutaj i tak dobrze i tak wygodnie było! Ztąd wytworzyła się apatja i brak zrozumienia współczesnych dążeń, ideałów niewieścich.

Książka była towarzyszem panny w szkole, a po za jej murami — kończyła się wszelka nauka. Rodzice nie uważali za konieczne nadać kształceniu córek charakter głębszy, nazywając każdy krok naprzód w kierunku umysłowego rozwoju kobiet — „szkodliwą emancypacją“, rzekomo przeciwną ważnemu zadaniu kobiety w rodzinie.

A jednak Baraniecki słowem i czynem tłómaczył, że tutaj nie chodzi o małpowanie zagranicy, że nie zamierza przeszczepiać na grunt krakowski zawadyackich form ekscentrycznych białogłów, dla których krótkie włosy i papieros w ustach — są synonimem emancypacyjnego ruchu. Nie. Ś. p. Adryan dowodził tylko, że kobieta wówczas dopiero spełniać będzie należycie obowiązki żony i matki, kiedy ducha swego silnie opancerzy, kiedy słabościom płci swojej przeciwstawi urobiony drogą gruntownej pracy i kształcenia się — charakter, rozpali w sercu ogień miłości dla Ojczyzny, żądzę wiedzy, świadomość wyższego ideału matki-obywatelki i matki-wychowawczyni. Tego pragnął Baraniecki, tę szytną myśl okupywał trudem fizycznym i stratami materyalnemi.

Za życia nikt Baranieckiemu ręki pomocnej nie podał, nikt nie zapytał, czy mu (osobliwie w chwilach ostatnich) ogrom pracy zbytnio nie ciężył, a gdy zmarły, czując już ubytek sił, pragnął znaleźć towarzysza i współpracownika w dziele oświecania młodych pokoleń — pustkę ujrzał dokoła.

Mimo to społeczeństwo przypuszcza, że spłaciło dług, zaciągnięty względem Baranieckiego. On niósł jedną pochodnię światła, a myśmy mu po śmierci kazali zapalić aż tyle latarń, kirem okrytych, złożyliśmy zwłoki na wozie przez kasę miejską zapłaconym, zaśpiewaliśmy rzewnie *Requiescat* nad grobem, powiedzieliśmy tłumom, że umarł jeden, co wart tysiące i opuściliśmy cmentarz w poczuciu, że praca zmarłego została sowicie wynagrodzoną.

Nie jesteśmy powołani do oceniania tego, co ś. p. Baraniecki napisał i zrobił na polu naukowo-lekarskiem. Liczny szereg dzieł poważnych zapewni mu piękną kartę w literaturze specyalnej, a niespożyte w dziedzinie społecznej zasługi przekażą nazwisko Baranieckiego pszyszłym Polski pokoleniom.

Józef Bornsztein.

MARYA KONOPNICKA

STUDYUM

PRZEZ

Wilę Zyndram-Kościałkowską.

(Ciąg dalszy).

Zależności poezyi od wpływów, bodaj wartkich bieżącej chwili, zaprzeczyć trudno. El-ly mówi nam, że:

„....zawsze w wieków minionych pochodzie
Z duchem społeczeństw szli śpiewacy w parze“.

Zawsze. Poeta nie może stawać w kolizyi z wiekiem swym i społeczeństwem. Wolno mu, jako wieszczowi, wiek swój wyprzedzić — nie wolno po za wiek swój się cofać, chyba gdy po za sobą ujrzy zapomniane zarzewie, które na nowo rozdmuchać potrzeba.

Każdy też naród i wiek każdy posiadają takich poetów, na jakich je stać. Dla badacza, chcącego wyprowadzić dyagnozę czasu lub społeczeństwa pewnego, poezya będzie zawsze najmniej zawodną miarą i nie ulega wątpliwości, że z pośród małych nie urośnie olbrzym, ani silny i szlachetny śród upadłych nie powstanie. Mogłoby to być, jeśliby poeta był zjawiskiem oderwanem, sporadycznem, nie zaś wyskokiem pewnych określonych danych. Któżby dziś opiewał homerowskie mordy? rozwiązłość za bogów przykładem? Gdzie wyobraźnia zdolna począć, a nerwy wytrwać w mistycznej glosy ekstazie? Byłżeby Dante Dantem po reformacyi, a Milton Miltonem przed nią? Uśmiechnięty wiek odrodzenia mógłżeby wypiastować Szyllera i Byrona, Leopardiego i Heinego? Pomiędzy tragedyą pseudoklasyczną w podrabianych koturnach kroczącą po wyślizganych parkietach Wersalu a dramatami Wiktora Hugo, przeszła rewolucya francuska. W Tasie i Ariošcie grały echa konającego gotycyzmu, i trzebaż kłaść nacisk na to, co śpiewakowi „Wallenroda“ i „Dziadów“ nie dało zaznać olimpijskiego spokoju twórcy „Hermana i Doroty“ i syntezy filozoficznej „Fausta“. Każdy przeciętnie wykształcony umysł rozumie wyż pomienione różnice, a i to także, że nienaruszając podstawowej jednolitości poezyi, różnice te są właśnie tętnem wieku.

Tylko tętna te w takt się wybijać nie dają i mnogie są przyczyny powstrzymujące je lub przyśpieszające. Ludzkość wprawdzie, w ewolucyjnym swym pochodzie, nie wstrzymuje się wówczas nawet, gdy się pozornie cofa. Bądź co bądź kroki, któremi po dziejowej posuwa się elipsie, nie są równe i obliczać się z matematyczną ścisłością nie dają. Jak w życiu człowieka są chwile wrażeń i doświadczeń, równoważące lat dziesiątki; tak i wahadła czasu, wydzwaniające na dziejowym zegarze dni ludzkości, raz, pod naciskiem wypadków, spieszą się, tak jak gdyby prześcignąć miały bieżącą chwilę, posuwają się leniwie drugi raz w reakcyi pochwycone sieci. Co do pieśni, ta, w ogniu działania przycicha zwykle, wybucha zaś głośniej w dziejowych zastojów dobie i wówczas pokolenia i narody uczy pamiętać, szukać, znajdywać, przeszłe opiewa, do nowych zagrzewa czynów.

Pozostaje nam pytanie, czy tętna obecnej doby nadają się do pieśni? Niektórzy, utrzymują że się poezya przeżyła. Minęła doba najpiękniejszego jej w pierwszej połowie bieżącego stulecia rozkwitu: doba romantyzmu, której jesteśmy duchowymi spadkobiercami. Dziedzictwo to zaszczytne. Nie było zagadnień, o któreby romantycy nie potrącili, wzniosłych uczuć i idei, którychby w obieg nie puścili, i nie było serc dość wystudzonych, któreby się oparły czasowi ich pieśni. Po dziś dzień i aż po krańce obozu wrogiego poezyi niema umysłu wznioślejszego, serca szlachetnego niema, w którychby nie przebłyskiwały romantyków natchnienia. Gdy ich wielka miłość i wielkie, z miłości tej zrodzone cierpienia przetrawiły przedwcześnie, na świecie zrobiło się bardzo szaro i poziomo. Poezya zmalała wraz z ludźmi. Pomysły dorosłych ich naśladowców kurczyły się; ckliwość zastąpiła siłę, oryginalność rozpływała się w dziwactwie, miłość omdlewała w czułostkowości, w lubieżności namiętność. Byron był niewątpliwie jedną z najjaśniejszych gwiazd poetyckiej plejady, lecz tłum nieudolnych jego naśladowców o mało byronizmem ogniska poezyi nie zalał. Było też

„...Pełno wszędzie słów pieszczonych szmeru,
. . . .
I pełno woni zbyt słodkiej eteru
. . . .
Zmarnowanego życia i papieru“.

Lecz tenże sam najprawowierniejszy syn i dziedzic największych poetów, opowiadając powyższemi słowy smutne dzieje poezyi poromantycznej doby, z wieszczą znajomością swego czasu, określa zadanie nowoczesnego poety. Prawdę mówi, że nie chcemy „okaleczonej“ miłości, ani wiecznego rozdziału pomiędzy lotnym duchem a tarzającem się w błocie ciałem. Nie chcemy „piekielnych a niegramatycznych“ poematów. Chcemy natomiast, aby pieśń nie „spowijaczem“ nam była ale „ostrogą“.

„Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju
Ukazywały nową, piękną stronę,
Któreby naprzód biegły w każdym boju,
Krzepiły serca słabe lub zmęczone,
. . . .
I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
Zdrowe pragnienia budząc w zdrowem ciele“.

El-ly.

Spójrzmy bo na wiek nasz! Wiek to czynu. To, co poprzednie przemarzyły, on w życie usiłuje wprowadzić. Prostuje stare, nowe wytyka drogi, z gorączkowym pośpiechem, jak gdyby chciał dogonić czas stracony, nagrodzić powolne, stosunkowo, wieków przeszłych ruchy. Otrząsa się z wszelkich pęt, gromadzi dobytek wiedzy i doświadczeń, spisuje inwentarze mienia ludzkości, przy każdym ułamku, przy każdej zatartej pozycyi śledcze zarządza badania, oblicza, co zrobić wypada. Wynalazki roją się pod jego tchnieniem, a para i elektryczność skrzydeł mu użyczają. Ruch wieku porywa wszystko i wszystkich. Świadomie jedni, nieświadomie drudzy — wszyscy ulegają parciu: naprzód!

A jednak, wiek ten gorączkowego pośpiechu nie szczędzi powolnych ślęczeń przy rozwiązywaniu trudności. To, co poprzednie wieki rozwiązywały twierdzeniem lub negacyą *a priori*, nasz wiek stara się rozwikłać z indyjską iście cierpliwością. (C. d. n.).

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

X.

(W dzień zaduszny. — Z teatru. — W sprawie kursów uniwersyteckich dla kobiet).

(kt.). Cicho tam i bardzo smutno. Świerki i jodły szumią, czasem wrona zakracze chrapliwie, czasem jakiś mały ptak zaćwierka w konarach, zatrzepoce skrzydłami i zleci z drzewa na ziemię, jakby chciał się przypatrzeć zdumiony kwiatom, barwnym i rozmaitym, które niespodzianie o tak późnej porze wyrosły. Nie — one tam nie wyrosły, nie wydała ich z siebie usypiająca ziemia; z cieplarni przeniosła je ręka tej bladej czarno ubranej kobiety i położyła — — na mogiłce. Ona teraz odeszła i patrzy z daleka na te kwiaty, patrzy przez łzy. Ozdobiła tak ładnie mogiłę — — ona już nic więcej nie może zrobić dla swego dziecka, nic więcej...

Łzy tylko może mu dać w grób wsiąkające, łzy i kwiaty i całe swoje serce, i całą swoją myśl, i całą swoją boleść niezmierną... Więcej nic. O! Nie tłoczcie się tam wy, ze śmiechem i żartami na ustach, nie depczcie tej mogiłki, nie depczcie tych kwiatów i tych łez, co się na nie polały; nie gniećcie tak brutalnie tej ziemi, w niej leży mała trumienka, a w trumience leży serce tej bladej, czarno ubranej kobiety. Idźcie cicho pomiędzy groby i między drzewa szumiące nad nimi. A nie wyrosło tu drzewo jedno, ani kwiat jeden, ani trawka jedna, którąby się nie poczęła w grobie i z grobów nie ciągnęła soków, i niema tu jednej grudki ziemi, w którejby nie było prochu umarłych — więc bądźcie tu tak, jak trzeba być w obliczu śmierci, cisi i poważni.

Największe ze wszystkich praw na świecie boleść ma prawa swoje. Tu, na cmentarzu, w zaduszny dzień, przychodzi cały ogrom boleści, która chce spokoju, chce ciszy, chce uszanowania dla tych, którzy ją wywołali, którzy ją zostawili odchodząc, i dla siebie. Nie bądźcie dla niej brutalni, nie łamcie jej praw. Gdyby ten tłum bezmyślny, idący na cmentarz w święto umarłych na zabawę poprostu, mógł wiedzieć, mógł odczuć, ile krzywdy sprawia tym, którzy tam przyszli zobaczyć groby swoich, których już nigdy nie zobaczą więcej... Gdyby ten tłum choć w setnej części mógł czuć to, co czuł Petőfi, kiedy mówił umarłej swojej Etelce:

Mów, czy nie kłócę ci spokoju,
Ty pogrzebany skarbie mój,
Gdy z bólem, co mi serce kraje,
Z tem dzieckiem mojej duszy, staję
Tak często na twym grobie tu?
Spokojnie będę się poruszał,
Powoli pójdę na twój grób,
Do krzyża cisnę usta moje —
Całowań ślad łez spłóczą zdroje —
I tam się zwracam, gdzie mój dom.

* * *

(b). Walkę z hypokryzyą ludzką, maskowaną podłością, z niskiego rodzaju pierwiastkami charakteru, jak serwilizmem, schlebianiem wpływowym i możnym, uleganiem podszeptom stronniczym, — słowem ze wszystkiem, co obniża poziom etyczny człowieka i bądź osłabia, bądź też uniemożliwia mu rzetelną dla dobra publicznego pracę — maluje Henryk Ibsen swym jędrnym pendzlem w świeżo wystawionym u nas dramacie pt.: „Wróg ludu“ (przekład p. Suessera). Niedawno temu zamieściliśmy w „Myśli“ obszerniejsze studyum o autorze „Nory“ i „Heddy Gabler“ pióra p. Jellenty, co zwalnia nas poniekąd od charakterystyki pisarza, który dzięki swemu głębokiemu umysłowi, ogarniającemu szerokie zagadnienia społeczne, analizie psychologicznej i darowi spostrzegawczemu tak wybitne zajął miejsce w literaturze współczesnej.

„Wrogiem ludu“ jest dr. Stockman, lekarz kąpielowy, który pragnie zabagnione źródła oczyścić, choćby kosztem chwilowego upadku miejscowości leczniczej. Ztąd burza i agitacya przeciwko niemu, wywołana przez burmistrza miasta (brata bohatera) i całą zgraję indywiduów, ciągnących zyski z przedsiębiorstwa kąpielowego. Możnaby niejedno zarzucić postaci „Wroga ludu“, jak bezwzględność w zamysłach i reformach, nie liczącą się z warunkami miejsca i czasu, zbytnią skłonność do uogólnień i paradoksów, a brak dobrze obmyślanej akcyi ku polepszeniu złego — bądź co bądź jednak przyznać trzeba, że jest ona na wskroś oryginalną w koncepcyi i jednolitą w przeprowadzeniu charakteru. P. Rygier, odtwarzający rolę dra Stockmana, pojął ją doskonale i wyposażył dużym zasobem inteligencyi. W innych rolach nie znajdują artyści pola do popisu.

Duży talent przebija z dzieła scenicznego Guy Maupassanta i Normanda: „Mussote“. Temat sztuki bardzo drażliwy, choć całkiem powszedni i pozbawiony zawiłej intrygi. Artysta-malarz utrzymywał do chwili swego ślubu z ukochaną dziewczyną — stosunek z modelką. Owocem pożycia jest dziecko, którego przyjście na świat okupuje matka śmiercią. Autorowie chcieli, aby katastrofa przypadła właśnie w chwili zaślubin Martinela. Udaje się on do łoża umierającej i przysięga jej zaadoptować syna. Gabryela (żona) zamierza zrazu — pod wpływem otoczenia — rozłączyć się z mężem, później przebacza mu i pragnie dziecku matkować. Oto treść — jak rzekliśmy — prosta, a tak tętniąca życiem realnem, tak psychologicznie wierna i pogłębiona. Widzimy na scenie sytuacye bardzo drażliwe, ale inaczej być nie może, kiedy samo życie stawia nas częstokroć w położeniu jeszcze trudniejszem. Martinel jest typem zwykłym, od innych różni go jednak szlachetność charakteru. Tacy panowie zazwyczaj rzucają Massotty, a dzieci ich zwiększają kontyngens parjasów. — Na szczególne wyróżnienie zasłużyli w sztuce pp. Żelazowski i Sobiesław oraz p. Żelazowska. Panna Kałużyńska fałszywie pojęła rolę Gabryeli i dlatego źle ją odegrała.

* * *

Otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie w łamach „Myśli“:

Szanowny Panie Redaktorze!

Sprawa dopuszczenia kobiet na wykłady filozoficzne przy Uniwersytecie Jagiellońskim jest obecnie bardzo aktualną, dowodem czego odzywające się w tej kwestyi głosy, że wymienię tylko artykuły pp. W. Marrené i Z. Kobryńskiej. Nie zamierzam tutaj omawiać doniosłości wniosku p. Karłowicza, który w całej Polsce doznał tak sympatycznego przyjęcia, a to tem więcej, że uprzedził mnie w tym kierunku w „Myśli“ p. dr. Massonius. Chodzi mi o inną całkiem rzecz, mianowicie o wskazanie, że projekt p. Marrené (patrz „N. Reformę“), aby galicyanki wniosły odpowiednią petycyę do senatu Uniwersyteckiego, jako wyłącznie decydującej w tym wypadku władzy — jest niefortunnym i nie tylko, że nie prowadzi do celu, lecz przeciwnie może tak ważnej sprawie zaszkodzić.

Przyczyna faktu ma swe źródło w nader słabej inteligencyi naszych niewiast, które dotąd bynajmniej nie objawiały chęci wyższego kształcenia się, nie przyjmując żadnego absolutnie udziału w umysłowym ruchu i daleko sięgających aspiracjach zakordonowych niewiast. Przeciętna galicyanka kończy seminaryum lub pensyonat, a w czasie tych „studyów“ karmi się lekturą, która ją wcale nie zachęca do zgłębiania tajników wiedzy i szukania światła nauki u prawdziwych źródeł. Nie wchodzę w to, dlaczego tak jest, jeno stwierdzam smutny fakt, mający także potwierdzenie w słowach niezapomnianego dra Adrjana Baranieckiego, że największego kontyngensu uczennic dostarczały Jego zakładowi: Litwa i Kongresówka. Dla powyższych powodów sądzę, że petycja galicyanek do senatu nie wystarczy, gdyż członkowie rady Uniwersyteckiej wiedzą doskonale, na jakim poziomie umysłowym stoją nasze kobiety. Należałoby zdaniem mojem nadać petycyi charakter ogólniejszy, tj. zebrać odpowiednią ilość podpisów kobiecych z pod zaboru rosyjskiego i pruskiego, poprzeć ją nazwiskami naszych inteligentnych pań (których jest niestety mało), oraz należycie wyjaśnić, jak wielką usługę oddaćby mógł Uniwersytet Jagielloński tym kobietom, które zmuszone były dotychczas szukać światła wiedzy na dalekiej obczyźnie.

W nadziei, że głos mój umieszczony w Pańskiem piśmie, nie przebrzmi bez echa, proszę Cię, Panie Redaktorze, o przyjęcie i t. d.

Aniela F.

(Z przyjemnością zamieszczamy list p. A. F., godząc się w zupełności na wyrażone w nim zasadnicze poglądy. Łamy naszego pisma stoją otworem dla dalszej w tej kwestyi dyskusyi. *Przyp. Red.*).

PLANY.

(H. IBSENA).

Nie zapomnę ja nigdy chwili słodkich wrażeń,
Kiedy pierwszy swój wierszyk ujrzałem w gazecie,
Siedziałem wówczas w karle i wśród pięknych marzeń —
Błogo, dymiąc z fajeczki, roiłem o świecie.

Stawiałem gmach olbrzymi, przecudnej struktury,
Dwa stawiałem w nim skrzydła i duże i małe;
Pierwsze wieszczej mej sławie wznieść chciałem pod chmury,
Drugie lubej dziewczynie już oddać na stałe.

Jak piękne i jak proste były moje plany!
A jednak czas pokazał, że były za śmiałe.
Architekt z czasem zmądrzał, jął robić przemiany:
Wielkie skrzydło uszczuplił i... zeszpecił małe.

(Przeł. *Ignacy Suesser*).

DLA JUTRA.

SZKIC ZAŚCIANKOWY.

Napisał

JÓZEF WAŚNIEWSKI.

(Ciąg dalszy).

Dworek ich rodzinny krył się poważną starością wśród klonów i topoli, między któremi bieliły się swą korą młode brzozy... Zdala błyszczało gładkie zwierciadło sadzawki, wybiegającej strumieniem z ogrodu, naprzeciw zaś czerwieniły się ceglane mury stajen i stodół, w których młockarnia jeszcze warczała swoim falującym w tonacyach turkotem. Przez otwarte wrota płynęły chmury pyłu z wymłóconej słomy, którą najemnice na drugie nosiły klepisko. Przed samym dworem zato cisza panowała, tylko kury i kaczki przechodziły tędy na spoczynek, paw, przeskakujący płoty, nie krzyczał, a nawet dwa wyżły warowały apatycznie przed gankiem półsenne. Z tej strony ganek na dwóch wsparty słupach nie był zupełnie podobny do tych starych ganków, na których dziadkowie nasi wydawali podstarościm dyspozycye; była to tylko niewielka wystawka pod dachem, obita z boków wybielonemi deskami, poczerniałemi od deszczu. Z drugiej zaś strony dworu ów tradycyjny ganek zastępowała obszerna, osnuta karminowem ciemnym liściem dzikiego wina oszklona weranda, z której piękny na ogród roztaczał się widok. Ładny, duży był to ogród na wpół park angielski, na wpół owocowy; w tej porze niezbyt dokładne można było mieć pojęcie o estetycznym wyglądzie ogrodu, liście bowiem z lip, klonów i grabów zaścielały wązkie ulice i trawniki, na robotach zaś gdzieniegdzie tylko zapóźniony czerwienił się aster, żółte liście szeleściły pod nogami, po sadzawce pływały, w powietrzu się kołysały, niby wielkie indyjskie motyle. Wszędzie widać było niknącą szatę letnią, podartą jesiennemi wichrami na drobne szmatki... Wszędzie tylko umarłe listki i powiędłe łodygi połamanych, porozrywanych kwiatów...

Gdy nauczyciel ze swymi uczniami wszedł na podwórze, obydwa wyżły rzuciły się ku nim z głośnem szczekaniem, zmienionem następnie w radosne skowyczenie. Kiwając ogonami i skacząc wprowadziły ich aż na ganek właśnie w chwili, gdy na progu stanęła młoda panienka.

— Już ze spaceru? zapytała figlarnie — pewno głodni jesteście chłopaki a i pan Kazimierz także — dodała zwracając się do nauczyciela.

— Jeszcze nie bardzo, nie bardzo, odrzekł tenże — nie byliśmy zbyt daleko... w lesie bukowym, po skałach biegaliśmy trochę...

— A bukwi nie nazbieraliście?

— A nie — zawołał Janek — ale przyniosłem ci coś słodszego...

— I ja także Henrysiu i ja także — odrzekł żywo Florek.

— Cóż takiego, dawajcież prędzej.

— Buzi — odrzekli jednocześnie dwaj bracia.

— Bu...zi... z pewnem jakby rozczarowaniem w głosie mówiła danna Henryka — a to mi specyał, och wy byście mi przynieśli kiedy, cokolwiek ze spaceru...

W jej chwili braciszkowie całowali już siostrę...

— A pan? — zapytała z kolei pana Kazimierza.

— Ładny kamyk — odpowiedział podając pannie Henryce mineralogiczną zdobycz — kwarc żółtawy, półprzeźroczysty, na słońcu mienił się jednak jak brylant.

— Kamyk... tak, pan tylko kamień mógł przynieść, tylko błyszczący przy słońcu jak brylant, a bez słońca?... Zawsze kamień — rzekła z pewnym naciskiem...

— Pani zawsze musi być... mówił z uśmiechem.

— Jaką? — przerwała.

— Uszczypliwą — dodał, poczem całe towarzystwo weszło do pokoju.

Pan Kazimierz Brzeszczot od trzech lat już uczył synów państwa Ostronowskich, w cichym ich starożytnym dworku w Leszczynkach. On sam, syn możnej niegdyś rodziny, podupadłej przez wypadki losowe, musiał porzucić studya uniwersyteckie, ażeby przyjść swoim z pomocą; wyjeżdżał na wieś na korepetycye, został w jednym domu na rok cały, w drugim także czas jakiś, aż znajomi do Leszczynek go zarekomendowali i tak uniwersytet dla niego zamienił się w miłe tylko wspomnienia. Pan Ostronowski, człowiek jakkolwiek zamożny, posiadłszy tak rzadkiego guwernera synów do szkół oddać już nie myślał, kontent, że cały ten kłopot przelał na głowę Brzeszczota, mogąc tym sposobem zajmować się z całem zamiłowaniem swoją zarodową oborą i, jako prawdziwy sportsmen, w pewnej części, stajnią. Pani Adela Ostronowska, z domu hrabianka Paprota, więcej zajmowała się wychowaniem córki, studyowaniem literatury i smażeniem konfitur, niż synami, córka też Henryka, pieszczona przez matkę, wyrosła na dorodną pannę, niezbyt posażną w pieniądze, bogatą jednakże w przymioty od matki nabyte.

Jakkolwiek pani Adela należała do rodziny zbankrutowanych hrabiów, kołatających się jeszcze po świecie karetami swoich kuzynów lub zatracających piękne tytuły przy pracy, mniej lub więcej seryo, pamiętała wszelakoż na szlachetne swoje pochodzenie. Dwór też cały, gdy się ktoś z gości zdarzył, trzymany był w pewnym tonie, w dniu bowiem powszednim wszystko tu miało charakter zwykły i codzienny, gdyż nawet lokaj albo w ogrodzie miał stałe zajęcie albo w polu udawał karbowego. Złośliwi utrzymywali przeciwnie, że karbowy i ogrodnik w razie potrzeby przywdziewał na się szaty karmedynera, stanowiło to jednakże zagadkę w Leszczynach przez nikogo bliżej nie badaną. Zresztą było tu wszystko na zwykły szlachecki ład, kierowany głównie rączką Henrysi, która przed dwoma laty pożegnawszy guwernatkę, przywdziała długie sukienki i o stylistyce przestała myśleć na dobre.

O mężu nie myślała jeszcze. A może... któż odgadnie serce młodej panienki... Lubiła czytać powieści, lubiła bawić się w sąsiedztwie lub na wieczorkach w domu, zachwycała się księżycowemi wieczorami w maju, deklamowała parę lirycznych poemacików, mogła więc nie myśleć jeszcze o mężu, lecz gustować w subtelniejszych wrażeniach, działających na serce romantycznie. (D. c. n.).

JAN KASPROWICZ.

IL AMORE DESPERATO*).

Z zapisków przyjaciela.

III.

Rwiesz się, kanzono? W twej treści
Nie ma więc dla mnie cudownego słowa,
Co na trąd duszy leki w sobie chowa?
A więc na zawsze mam być jako człowiek,
Któremu cieką z pod zmęczonych powiek
Łzy na żywota potarganą kartę
Zatem, co płaczu i żalu nie warte?...
Chciałem być blaskiem, co skry w pomrok rzuca
I martwe byty do życia ocuca,
A oto jestem dziś cieniem nad cienie!
Ze wszystkich stworzeń najlichsze stworzenie
Więcej ma w sobie jaśniejącej mocy,
Niżeli duch mój, podobien do nocy,
W której przed chwilą szalał orkan dziki,
Co pogasiwszy złotych gwiazd promyki,
Obłoków czarne pozostawiał szmaty,
Jako z legendy ów potwór skrzydlaty:
Zerwał się z ziemi, strzepnął się u góry
I świat zasypał ciężarnemi pióry,
A z nich tej samej zrodziły się doby,
Pomór straszliwy i inne choroby,
Nawiedzające ciało i duszę; —
Powodzie, grady, bezlitośne susze,
Czerwie, co drzewa najwybrańsze niszczą,
I te sporysze, którymi się pryszczą
Kłosy, jak raną, z owych piór powstały...
Chciałem być surmą wiosenną, co cały
Tłum podeptanych ziół do walki budzi
Przeciwko zimie, a oto się trudzi
Daremnie pierś ma, by okrzyk bojowy
Wyrzucić z siebie nad zgnębionych głowy;
Głos w niej zamiera i, jak siła mściwa,
Jeszcze pierś moją, zamierając, zrywa,
Jeszcze ją truje, ażeby z jej czary
Nigdy ożywcze nie trysły nektary...
I czem jest człowiek? Świecą, którą gaszą
Lada powiewy: nędzne ćmy, co straszą
Dzieci, do izby wleciawszy wieczorem,
Umieją blask jej, swojem skrzydłem skorem
Zamienić w ciemność... Niestety! niestety!
I czem jest człowiek? jakiež ma zalety?
Brzmieniem organu, co huczy tak długo,
Dopóki w niego dmiesz powietrza strugą,
A gdy się spruje przypadkiem szew miecha,
Tak się urywa i ginie bez echa...
I czem jest człowiek? kwiatem, co świeżemi
Płonieje barwy, dopóki ze ziemi
Pył się nie wzniesie i na kwiat nie spadnie...
Nie ma swej woli: siła nad nim władnie,
Która nie z jego wypłynęła łona,
Lecz z gry przypadków swawolnych zrodzona;
Tylko, że nieraz ta swawola losów
Woła o pomstę do głuchych niebiosów,
Tak jest nikczemna ach i tak jest krwawa
Ta z wolą człeka słabego zabawa!
Nie ma ratunku! z zaklętego koła
Żadne zaklęcie wybawić nie zdoła,
Chyba śmierć tylko, ten posłannik Boży,
Gdy swój całunek na wargi położy...

* * *

O śmierci, bolejących jestestw zbawicielko!
Schorzałej wyobraźni przytępione dłuto
Nie rzeźbi cię w porfirze ani w ametyście,
Na wzór antycznych kamei,
Pięknej wieczyście
I uśmiechniętej promieniem nadziei,
Lecz twarz nadaje ci lutą,
Wonnego miodu kropelką,
Lśni zimna i cuchnąca martwość żółtej kości!
A zamiast oczu wabiących błękitem
Źródlisk najczystszych w życiodajne strony
Gdzie zamiast wargi różowej, zroszonej
Wieczności,
Dwie puste jamy,
Jak dwie piekielne bramy,
Szyderstwem, na kształt gadu, w ich cieniu ukrytem,
Od ciebie odstraszają patrzaj duszę wszelką,
O śmierci, bolejących bytów zbawicielko!...

* * *

Ze sfer, gdzie myśli ludzkiej opadają skrzydła
Na widok zmian przedziwnych, gdy to, co dziś pada
Przeżyte do mogiły, jutro z brzaskiem zorzy
Na mocy prawidła,
Którego rozum nie zbada,
Powstaje w nowych kształtach, młodością promiennych;
Ze sfer, gdzie żywot wieczny, ten pierwiastek Boży,
Dany jest wszystkim bytom,
Począwszy od amfibij i ziół niskopiennych;
Od nikłych infuzoryj, co wody kropelką
Pomiędzy sobą w częściach dzielą się tysiącznych,
A ukończywszy na człeku,
Który od wieku do wieku,
Śród trudów, z jego życiem nigdy nierozłącznych,
Z swych myśli i z swych uczuć przędzie złotolitą
Tkań, przez eony ciemności szarpaną:
Ze sfer, gdzie jasne rano
Czeka po nocy zmroku
Walczącą duszę wszelką,
Spłyń ku mnie w światła potoku,
O śmierci, bolejących bytów zbawicielko...

* * *

O śmierci, ty madonno, pędzlem Rafaela
Rzucona w poetycznym zachwycie na płótno,
W spokoju ócz niebiańskich kryjąca serdeczny,
Łagodny uśmiech wesela,
A w ustach, tak zamkniętych, jak pękówka róży,
Mieszcząca urok, przedwiecznej
Pełen boskości,
Którego troska ani wiek nie zburzy —
Nie! ty Wenero, którą mistrz z Werony
W figowym gaju podpatrzył i potem,
Słonecznem oblaną złotem,
Czasem okrutną,
Potomkom w śmiertelnym przekazał obrazie,
Że dziś w ekstazie,
Z przepełnionemi łony
Podziwem i pragnieniem, stają skamieniali:
Do wymarzonych włości
Zabierz mnie dzisiaj, gdzie się duch nie żali,
Gdzie rozkosz sączy, kropla za kropelką;
O śmierci, bolejących bytów zbawicielko!...

(D. c. n).

*) Sprostowanie. W druku niniejszego poematu (w nr. 11-tym) zaszły następujące omyłki: w strofie czwartej, wierszu szóstym winno być łechcące, zamiast Techigie, a w strofie szóstej, wierszu trzecim: twe, zamiast swe.

POTĘGA ZIEMI W POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ.

III.

Lecz czyż rzeczywiście to jest ostatnie słowo mądrości współczesnej? Czy włościaństwo starego kontynentu rzeczywiście skazanem jest na wymarcie i czy rzeczywiście potęga ziemi trzyma je jakby uwięzionem na stopniu dzikości pośród cywilizacyi XIX wieku? Na te pytania poszukajmy odpowiedzi na przeciwnym końcu Europy, gdzie rolnictwo zachowało jeszcze więcej pierwotnych form, a cywilizacya burżuazyjna nie wzrosła do takiej potęgi, jak we Francyi. Przejrzyjmy się więc naprzód w utworze Gleba Uspieńskiego „Właśť zemli". Gleb Uspieńskij należy do autorów najpopularniejszych obecnie w Rosyi, lecz najmniej znanych poza jej granicami. Przyczyną tego jest niezwykły w literaturze, oryginalny sposób pisania tego autora. Jest to artysta niepośledni, chociaż wcale nie pierwszorzędny. Lecz z powodu pewnego

ascetyzmu w swym sposobie myślenia unika on, że tak powiem, w swych utworach okazyi okazania się artystą. Utwory jego są to zazwyczaj krótkie szkice lub szeregi luźnych szkiców. Osnowę tych szkiców stanowi zazwyczaj rozmyślanie samego autora o kwestyach współczesnego moralnego stanu i społecznego życia w Rosyi, a rozmyślania te ilustruje autor wstawionemi w nie króciutkiemi lub dłuższemi opowiadaniami, podchwyconemi żywcem z natury i zapisanemi przez autora w notatce. Notatki, zapiski podróżne, urywki rozmów ze znajomymi — oto zazwyczaj główny materyał, którym autor ilustruje swe rozmyślania, refleksye i argumentacye. Rzadko tylko spotykamy u niego szkice artystycznie wykonane, podobne do nowel, lecz i tutaj jeżeli nie od siebie, to przez usta swych bohaterów autor wygłasza długie rozprawy, streszczające całe szeregi obserwacyj. Czytając tego autora, czuje się na każdym kroku, że mógłby on być wielkim artystą, lecz nie chce, gdyż tematy, o których pisze, opanowały go, zrobiły go apostołem i dydaktykiem, zamiast że on miałby je opanować, grupować i oświetlać sztucznem światłem jednolitej koncepcyi artystycznej. Sam autor jest typem Rosyanina, obserwatora niezmiernie bystrego, choć skłonnego do jednostronności, lecz przytem nielitościwego analityka, usiłującego wniknąć w głąb rzeczy, w istotę zjawisk; dlatego gardzącego formą, wiecznie szukającego ideałów i wiecznie niezadowolonego z tego, co ma, i dlatego właśnie skłonnego do melancholji, nieuleczalnego śledziennika, który mimo to w swym chorobliwym nastroju nie utracił zdolności gorącego kochania ludzi, może radować się, jak dziecko pierwszym lepszym drobniutkim faktem, w którym widzi zadatki lepszej przyszłości. Jest to natura nawskróś współczesna, nerwowa; sprzeczne jej pierwiastki składają się na oryginalny, mimowolny i nieświadomy na pozór humor, który robi wrażenie bladych przebłysków słońca w słotny, ponury dzień.

A mimo to, mimo, że wszystkie szkice Uspieńskiego robią ostatecznie ciężkie, ponure wrażenie na czytelniku, a nieraz wprost przygnębiają go nie tyle ciężarem przedstawionych faktów, ile raczej ponurą perspektywą, jaką z powodu tych faktów rozsnuwa przed nami sam autor-komentator, — mimo to imię Gleba Uspieńskiego cieszy się w Rosyi, szczególnie u młodzieży wielką popularnością i wziętością. Najbardziej zjednywa mu serca młodzieży ta szczerość i otwartość, z jaką on traktuje każdy przedmiot, to skoncentrowanie wszystkich sił duszy i umysłu, to prawie chorobliwe naprężenie, z jakiem on bierze się do rzeczy. Pracuje on i rozumem i uczuciem, analizuje, rozkrywa rany społeczne, lecz przytem czuć zawsze, że serce jego drga gorącem współczuciem dla wszystkich nieszczęśliwych, uciśnionych i uciemiężonych, których taką niezliczoną ilość dźwiga na sobie ziemia rosyjska. I co najważniejsza, poddaje on swej analizie najzwyklejsze fakty z życia, częstokroć najprostsze notatki z kroniki gazeciarskiej, postacie przypadkowo spotkane na ulicy, stosunki, w jakich znajduje się co dnia prawie każdy człowiek, — i przez potężny mikroskop swej duszy widzi w tych faktach, postaciach i stosunkach także otchłanie niezbadane, tyle zarazków i miejsc chorych, tyle cierpienia, nędzy, łez, niezniszczonych a słusznych pragnień, rozbitych marzeń, że czytelnika dreszcz przejmuje i wzrok jego mimowoli kieruje się wewnątrz własnego ja, na własne życie, na własne stosunki do innych ludzi. Jest to autor, który swem niekunsztownem, nieraz z umysłu nieokrzesanem słowem wytrawia, wypala w naszem wnętrzu wszelki fałsz, hipokryzyę i kłamstwo, czyni nas współczującymi dla ludzkiego cierpienia, bo zmusza nas samych cierpieć wraz z nieszczęśliwymi, nieraz formalnie i z upodobaniem ascety męczy nas, by wydelikatnić naszą wrażliwość na cudze cierpienia. Jest to autor najbardziej pouczający i uszlachetniający ze wszystkich, jakich znam w literaturze wszechświatowej; nikt tak wysoko jak on nie podnosi sztandaru czystego człowieczeństwa, nikt niema takiego jak on daru — zmusić nas byśmy się czuli ludźmi, obudzić i ożywić poczucie człowieczeństwa w czytelniku. A przecież z rygorem prawdziwego ascety autor ten unika wszelkich szumnych frazesów, wszelkich lirycznych porywów, wszystkiego, coby choć z daleka mogło przypominać pogoń za efektem. Jaknajprostsze środki służą mu do osiągnięcia celu. W tym względzie jest on antypodem Zoli, który jest mistrzem w efektownem cieniowaniu i zestawianiu kontrastów, chociaż także gardzi frazesem i lirycznymi wybuchami. Antypodem Zoli jest Uspieński także i w tym względzie, że podczas gdy realista francuski wszędzie jest ściśle objektywny, maluje świat, jakim go widzi, lecz nigdzie nie pokazuje swej osobistości, Uspieński zawsze i wszędzie jest sam na scenie, ze swemi myślami, ze swą tęsknotą i troską. Wspólnym zaś obu tym pisarzom jest niezwykły dar obserwacyjny, dar przenikania w głąb zjawisk, dar mikroskopowania wszechrzeczy, dar analizy, której żadne nie wstrzymują pozory.

Otóż ten autor, prawie równocześnie z wielką powieścią Zoli o chłopach francuskich, wydał szereg szkiców p. t.: „Własť ziemli“, w których w swój sposób zajmuje się tym samym, co i Zola, tematem, to jest życiem chłopa, pod wpływem potęgi ziemi. By dać obraz o sposobie pisania tego autora i o jego ze wszechmiar uwagi godnym utworze, podam tu bodaj w ogólnych zarysach jego treść.

Mroźny dzień zimowy w pełnym blasku — tak rozpoczyna swą opowieść Uspieński — wskróś niezamarznięty kawałek okna do połowy zamieconego śniegiem, widzę, jak na szerokie podwórze, przytykające do tego wiejskiego domu, w którym mieszkam, wszedł chłop Iwan Petrow, na przezwisko Rosych. Widzę, jak on leniwym, prawie chorobliwym krokiem zbliżył się do kupy jak bądź narzucanych w rogu podwórza polan, które najął się porąbać na drwa, jak on, zamiast wziąć się do pracy, zaczął obiema rękami co siły skrobać się w głowę, trzymając pod pachą czapkę, jak następnie, wdziawszy czapkę na głowę, kopnął kupę polan nogą obutą w podarty berlaczysko, a następnie, znowu zamiast wziąć się do pracy, zaczął ruszać plecyma, starając się dostać kułakiem do środka grzbietu. Widzę to wszystko i wiem, że Iwan znajduje się w nadzwyczaj niemiłem położeniu, wiem, że on chory od wczorajszego dnia, że on wczoraj upił się mocno, i że jeżeli dziś przyszedł nibyto rąbać drwa, to już sama późna godzina jego przybycia w czasie, gdy ludzie zbierają się jeść obiad, świadczy jedynie o jego zamiarze — wyprosić rubla srebrem i pójść znowu pić.

I rzeczywiście, popukawszy się pięścią w krzyże i między łopatkami, on sięgnął do kieszeni szarego, podpasanego armiaka za tytoniem, a następnie, rozcierając go na dłoni, ponuro powlókł się do kuchni. Tutaj, jak mnie także już na pewno wiadomo, on długi czas będzie palić fajkę, aby rozpocząć ogólną rozmowę; opowie, że wczoraj w karczmie ukradli mu pieniądze, a wzbudziwszy tym sposobem ogólne współczucie, długo będzie rozmawiać o upadku swego gospodarstwa, o tem, jak on żył na dworcu kolejowym, jak się poprawił, udzieli mnóstwo rad o tem, jak leczyć taką a taką chorobę, jak łapać borsuki, jak szczepić jabłonie, a wreszcie nie mając siły sprzeciwiać się dłużej męczącej go chorobie „katzenjammeru“, zakończy: „nie, widać ja dziś nie człowiek“ i przyjdzie do mnie prosić o rubla srebrem, mówiąc, że u niego „w trunku pali, szarpie, nie i gryzie“ i że on ocuciwszy się przyjdzie jutro przed świtem i wszystko zrobi za jednym zamachem. I o tem także wiem zdawna, że Iwan Petrow ocuciwszy się, staje się zupełnie innym człowiekiem i że w takich — niestety — rzadkich chwilach, niema we wsi drugiego chłopa, któryby tak jak Iwan był zawzięty na robotę.

Po takiej charakterystyce, z którejby Zola stworzył obszerny, wspaniały obraz, a która u Uspieńskiego wygląda, jak streszczenie jakiej artystycznej, lecz nienapisanej rzeczy,

autor opowiada, że Iwan jest typem wiejskiego proletaryusza rosyjskiego i następnie zastanawia się nad całą bezsensownością takiego zjawiska.

Proletaryusz ten może mieć ziemi ile chce, ma żonę rozumną i pracowitą, sam jest silny i zdrowy, a mimo to pije, żonę bije, kłamie, oszukuje i czas marnuje. Wszelkie rozmowy z Iwanem, dla czego on tak upadł, nie doprowadzają do niczego.

Jako przyczynę swego upadku podaje on wolność, swawolę, a gdy autor wyraża zdziwienie z tego powodu, opowiada mu Iwan swe przygody na dworcu kolejowym. „Gdym żył na dworcu, brałem po 35 rubli na miesiąc, miałem 10 ludzi pod sobą, co dnia od wagonu dochodu co najmniej rubla, a policzcie, ile to my wagonów w ciągu zimy wyszlemy. No, i tutaj, widzicie, rozpuściłem się“. A rozpuścił się Iwan w ten sposób, że zaczął pić, porzucił żonę, zdzierał swych ludzi i dopuszczał się rozmaitych innych rzeczy, dopóki go nie wyrzucono z dworca. „I wierzaj mi pan — opowiada on — gdym się tak rozpił do ostatnich granic, gdy się to doniosło do naczelnika, gdy przyjechał naczelnik dystancyi, jak mi da tęgiego leszcza, a naczelnik eksploatatacyi, jak mi nie dosypie w kark (dziecięca radość rozlała się po jego twarzy), a w magazynie ruchu jak mię natłukli po pod ziobra, tożto wtenczas, braciszku mój, przeżegnałem się krzyżem świętym, i nibym z grobu wyskoczył, zmartwychwstał, i po mrozie, w czem byłem, bez czapki — do domu! Polami, rowami, poza stodoły, niby ptak 25 wiorst bez wytchnienia przeleciałem i nie wiedziałem nawet, jakem się znalazł na swem podwórzu. Znalazłszy się na podwórzu goły i nagi, i wszystko u mnie zniszczone, a rad byłem dalibóg, nibym zmartwychpowstał. Chwałaż ci Panie! Chwała ci, Królowo niebieska! Jam znowu człowiekiem, znowum sam się znalazł. Upadłem żonie do nóg. „Daruj mi, żono moja droga! Będziemy pracować, gospodarować. Porzucę swe głupstwa, będę znowu człowiekiem“. I rzeczywiście, wziąłem się wówczas! I wszystko mi miłe, — i rola, i pług, i brona, i sanie, i cielątka, i stodoła zgarbiona, i płot i kłoda. Wszystko niby rodzeństwo, niby przyjaciele drodzy, krewni. Spojrzę dokoła — aż straszno, takie pustki, a mnie tylko odwagi przybywa. Widzę — pracy taka moc, że rób i rób i nie zrobisz, a mnie tylko ochoty więcej i siły przybywa. Taka to nasza chłopska natura. Tam i roboty nie było, i wszelkie przyjemności i pieniądze, a człowiek tylko zgłupiał, duszę błotem zawalał, niby świnia w bagnie się tarzał. A dla czego? wszystkiemu winna wolność“.

Iw. Franko.

Knut Hamsun.

NA ŁAWACH NEWFOUNDLANDU.

SZKIC PSYCHOLOGICZNY.

(Dokończenie).

Pewnego dnia — miałem właśnie zajęcie w stronie, gdzie ona przesiadywała na polowem krzesełku nieruchomie patrząc przed siebie, — biegnąc, potknąłem się o motowidło nici w dziegciu maczanych i o mało co nie upadłem. Tak dalece straciłem przytomność, że odwróciłem się i zamiast iść dalej, bezmyślnie, głupio wpatrzyłem się w nici. Dlaczegóż się wtedy nie roześmiała? I dlaczegóż przez cały czas oka ze mnie nie spuściła, skoro śmiać się nie miała zamiaru? Ochoty widać jej zbrakło: ani jeden muskuł nie drgnął w jej twarzy. — „Butwieje — twierdził van Tatzel — dalibóg butwieje“! A jednak dobrowolnie spośród nas ani jedenby nią nie wzgardził!

Na „sprawieniu“ ryb i ponownem zarzuceniu sieci kończyliśmy naszą dzienną pracę. Spędzaliśmy jeszcze godzinę lub dwie, jedząc i paląc razem, poczem udawaliśmy się do kajuty.

Jeżeli nie czuliśmy zbytniego zmęczenia, to o tej porze i pogawędzić było można: opowiadaliśmy sobie anegdotki — językiem gminnym, nieociosanym, pełnym przekleństw i brzydkich słów. Francuz znał koniec jakiejś opowieści o człowieku, „który na żadną, bez pożądania, nie mógł spojrzeć kobietę“, koniec ten powtarzał już kilkakrotnie, zawsze z jednakiem powodzeniem. Rosyanie zachwycali i śmieli się bezustannie — przez cały ciąg opowieści. Radość ich wobec tej niezręcznej fabuły, przypominała radość dziecka: drażniła ona ich nerw śmiechu i wzburzając krew, podrzucała ich w kajucie. — No, a co potem? pytali wciąż, co stało się później? — A jednak wiedzieli równie dobrze, jak i my, co się później stało.

A i van Tatzel był najszczęśliwszy kiedy swoją mógł opowiedzieć bajkę; my rzadko jej słuchaliśmy. Tak mało rozumieliśmy jego mowę, on zaś tak mało umiał po angielsku, że nawet to, co niby umiał, w ustach jego zupełnie błędne przyjmowało brzmienie. Ilekroć zamierzał coś powiedzieć, a słów mu zbrakło, zaczynał wodzić wokoło siebie smutnem spojrzeniem, nie wiedząc jak się ratować. Był istotnie pożałowania godny.

Van Tatzel starszym był z holendrów — brudny niemożliwie, trochę przygłuchy, lecz dobroduszny i usłużny. W uszach zawsze miał watę — latem i zimą — duże kawały waty, zżółkniałe ze starości i brudu. Był nadzwyczajnie ociężały: życie na morzu uczyniło zeń dziecko poprostu, dziecko, które dalej nosa nie widzi. Leżąc w budce, paląc silny tytoń i plując przed siebie bezmyślnie, w ten sposób zwykł był opowiadanie rozpoczynać:

— Pewnego dnia w Amsterdamie, pewnego dnia był wieczór — prawił — wieczór był — w Amsterdamie. Wziąłem był właśnie pensyę. Ostatni to wieczór, który na lądzie spędziłem. Nie przypominam sobie, która była godzina, ale było bardzo późno. A że wracałem z knajpy i zmierzałem na okręt, więc podkasałem spodnie; przypominam sobie, że dwoma zakładkami podwinąłem każdą nogawkę; zresztą miałem porządnie w czubie i, schylając się, zatoczyłem się. Powlokłem się dalej w ulicę Leopolda. Tu zdarzyło się coś... coś, co mojej dotyczy osoby. Bo nie byłem tak pijany, iżbym jej nie widział; szła tuż za mną, samym środkiem ulicy — wierzcie albo nie wierzcie, ale to była dama z towarzystwa.

Stary dzieciak podnosi się trochę i spogląda na nas.— Elegancka dama! — powtarza. I urywa. Angielszczyzna już wyczerpana: ani rusz dalej.

— Istotnie na ulicach Amsterdamu chodziła za tobą dama? pyta ze swojej kajuty „doktór“, z lekkiem szyderstwem w głosie.

— Tak jest, dama! — odpowiedział w zachwycie. — Z przejęciem dwukrotnie na to przysięgał, my zaś wszyscy śmialiśmy się z niego. Chce opowiedzieć dalej, lecz zatacza się znowu, nie umie skończyć. Pracuje swoim starym mózgiem, z wysiłkiem szuka słowa, któreby nam rzecz objaśniło, lecz milczy jak trusia. Tyle zależy mu na tem, aby tym właśnie szczegółem z nami się podzielić, że pod wpływem wspomnienia o owej pani, gnany przez rozpacz, w jaką go wprawia niemożność wysłowienia się, wybucha nagle mową rodowitą, rojem dziwnych słów, których żaden z nas nie rozumie, z wyjątkiem chyba jego rodaka, chrapiącego w sąsiedniej kajucie.

Oto opowieść van Tatzla, jedyna, którą umiał. Kończyła się zawsze jak wyżej. Tyleśmy już ją razy słyszeli! Zaczynała się zawsze jednako — owym wieczorem w Amsterda-

mie. Była to opowieść prawdziwa i ani jeden z nas o autentyczności jej nie wątpił...

Potem leżeliśmy jakiś czas, myśląc o tej bajce, a morze huczało, w mosiężnych obręczach kołysała się lampa, na pokładzie strażnik swojemi drewnianemi uderzał butami. I nadchodziła noc...

Zbudzę się, bywało, koło północy — zbudzę się, bo dusi mnie powietrze zgęszczone przez oddech wszystkich tych ludzi, którzy w dzikich snach strasznie się szamocą. Lampa blaskiem swoim oblewa niezgrabne te cielska w szarych, wełnianych koszulach; obaj rosyanie, o twarzach pokrytych gdzieniegdzie rzadką szczeciną, wyglądają jak śpiące psy morskie. Z każdej kajuty rozlega się stękanie i bełkot; murzyni przez sen zgrzytają białemi zębami, majaczą głośno, wymieniając jakieś imię, dąc czarne swoje policzki. Z kajuty młodszego holendra, wśród urywanego śmiechu i chrapania, przebrzmiewa to samo imię — imię żony sternika. Wszyscy nią tylko zajęci; nawet we śnie o niej prawią, każdy w swoim języku. Jeden tylko van Tatzel śpi spokojnie i zdrowo — niby nieme zwierzę.

Silny zaduch kajuty, dym, pot tych ludzi i woń ryb, wszystko to wytwarza mgłę ciężką, odurzającą, która zawiera mi powieki, ilekroć je otworzę. I zasypiam znowu, czując, jak kładzie się na mnie zmora — kwiat niezmiernej wielkości; — kładzie się i wsysa mnie w wilgotne swoje liście i pochłania cicho i pewnie, w milczeniu, bez szmeru. I z przed świadomości mojej znika świat cały....

Potem zjawia się straż i napędza nas do pracy.

(Przeł. Malwina Posner).

MUZYCY i SZKOŁY MUZYCZNE.

IV.

Dla wszelkiej pracy rzetelnej i obywającej się bez sztucznego rozgłosu, mamy z pewnością szczere uwielbienie, jednakże niepodobna zaprzeczyć, że są i w sztuce rzeczy, które w dzisiejszych warunkach nie mogą zabłysnąć bez reklamy, a co najmniej potrzebują jej z początku, aby sobie oszczędzić długich mozołów i trudów, z którerni połączone jest wyjście, z zakątka, na szerszą arenę. Może więc reklama częstokroć spełnić zadanie bardzo piękne; nie jej zasada też jest tak zdrożną, jak sposób jej zastosowywania — jak forma, obrażająca nieraz wszelkie delikatniejsze poczucie godności osobistej.

W naszych stosunkach, nie jest ona w tym stopniu jeszcze rozwielmożnioną, co zagranicą, jednakże dziennikarstwo nasze w zachwalaniu artystów i dzieł sztuki bardzo wiele złego popełnia. Przedewszystkiem nie posiada pewnej miary, którąby oceniało artystyczne jej produkcye — mówimy tu nie tylko o muzyce, ale tak samo o malarstwie i rzeźbiarstwie. Rozumiemy bowiem dobrze, że powinien być zachowany pewien łagodny, przychylny stopień sądu, ale chwalić wszystko bez wyjątku jednemi utartemi przymiotnikami, znaczy wprost zabijać wszelki rozwój krytyki u ogółu, wszelkie pojęcie o pięknie. Gdyby ktoś zechciał wyrobić sobie zdanie o muzykach, z tego co spotyka w dziennikach, powinien by przyjść do przekonania, że Chopin a Czerwiński — Moniuszko a Czubski to zupełnie jedno, wszak wszyscy otrzymują jeden przymiotnik „znakomity“, tak samo, jak wszyscy są „naszymi narodowymi“ — umieszcza się ich nazwiska bez wahania obok siebie... Dzieje się to wskutek tego, iż układanie drobnych wzmianek dziennikarskich, stanowiących właśnie reklamę, najbardziej wpadających w oko, najwięcej czytanych, powierzane jest ludziom, którzy obojętni na to, jaką krzywdę wyrządzają sztuce, umieszczają wszystko o co są proszeni, bez wyboru i bez krytyki. O sprawozdawców fachowych postarały się już dzienniki nasze, ale więcej kierowane ambicyą, aby w każdym ich dziale pracował „specyalista“, niż prawdziwem poszanowaniem dla sztuki. Często bardzo, sprawozdania fachowe, wchodzą w fatalną kolizyę, z wzmiankami uczynionemi inną ręką w innej rubryce... Aby wejść na drogę uczciwie wiodącą do celu, należałoby koniecznie rozciągnąć kontrolę jakąś nad całem traktowaniem sztuki w dziennikarstwie, a wtenczas dopiero publiczność wyjdzie z tego labiryntu, z którym krąży ustawicznie. I wtenczas zacznie dopiero wyrabiać sobie zdanie sztuczne. Mamy w myśli ciągle, jeden wypadek z naszego życia muzycznego, który charakteryzuje ogólny stan pojęć. Panna X. była przed laty t. zw. cudownem dzieckiem, uczyła się w szkole Marka — umieszczano o niej wzmianki pełne zachwytów; gdy jednak po kilku latach nadeszła moda utyskiwania na cudowne dzieci, i ją potępiono, posądzając że sobie lat ujmuje, lekceważąc cnotę jej, talent i pracę. Tymczasem *de facto* talent panienki wcale nie zanikł, owszem rozwija się i zpewnością wyrobi się z niej bardzo dobra pianistka — jednakże, stosunkowo tylko mała część publiczności wie o tem i uznaje to. Dowód to tylko jak ostrożnie trzeba postępować z reklamą, z drugiej zaś strony, jaki brak u nas owego spokojnego poważnego sądu, który ze wszystkiem jest w stanie dobre od złego odróżnić; nie chwaląc na ślepo lub nie rzucając się na wszystko bezmyślnie.

Jakto już wyżej wspomnieliśmy i p. Ludwik Marek początkowo schronił się pod skrzydła reklamy. Wyjechawszy ze Lwowa, już tem samem, iż zapragnął pod sztandar nowej szkoły się zaciągnąć, musiał wywołać nieprzyjaźń swego nauczyciela Mikulego, jak wiadomo całą duszą przywiązanego do tradycyi Chopinowskiej. Powróciwszy od Liszta czuł dobrze, że na to aby sobie stanowisko wyrobić, musi uzbroić się w środki bardzo potężne, aby rywalizować z Mikulim i jego nadzwyczaj silnem gronem wielbicieli. Nie dość mu też było, iż mógł zaimponować techniką zdobytą u Liszta, świetnością i brawurą gry swojej, ale spróbował na publiczność wytoczyć działa reklamy. Byłto krok uczyniony w zapale młodzieńczej energii, która wszystkich środków się chwyta i nie bez pomyślnego rezultatu.

Walka Mikulego z Markiem była głośną w całym kraju.

Niezmordowany w swej ruchliwości Marek wydobywał i kształcił wybitniejsze talenty, umiejąc zwłaszcza energicznie rozwijać ich technikę; urządzał koncerta na których uczniowie się popisywali; dzięki swoim stosunkom zawiązanym zagranicą, sprowadzał artystów słynnych, którzy jemu powierzali urządzania swoich koncertów; nieobyto się tego żeby od czasu do czasu nie pochwalił się jakimś cudownem dzieckiem... O wszystkiem tem dzienniki pisały a rozgłos rósł. I wreszcie wyrobił sobie stanowisko w opinii publicznej równorzędne z Mikulim.

Czasy się jednakże zmieniły — dawna rywalizacya Mikulego z Markiem przybrała w ciągu lat charakter bardzo łagodny. Całą waśń puszczono przy pewnej uroczystej okazyi w niepamięć, a od chwili owej zapanowały w ogólności stosunki bardzo pokojowe w naszym świecie muzycznym. Przekonano się, że można istnieć obok siebie bez zatruwania sobie życia, bo miejsca jest dość dla każdego, a zastępy zwolenników muzyki wcale się nie zmniejszają. Cała też pochopność do reklamowania się ustawicznego, znacznie zmalała u tych muzyków, którzy uważają swe stanowiska za poważniejsze — a do ułożenia stosunków należałoby jeszcze, aby dzienniki, popierając sztukę, umiały to czynić rozumnie i z miarą krytyczną.

I p. Ludwik Marek nie posługuje się obecnie temi środkami, co dawniej. Szkoda tylko że istnieje jeszcze znaczna część publiczności, która raz pochwyciwszy jakieś zdanie potępiające go, trzyma się tego i wyciąga wnioski niezgodne z istotnym stanem rzeczy. Naprzykład sprawa z owymi „cudownemi dziećmi“ ma się inaczej, niż sądzą ci, co się tak

gorszą każdym bez wyjątku wczesnym okazem talentu. Potępić można tylko wtenczas obchodzenie się z dziećmi o niezwykłym talencie, jeżeli talent ten jest wyzyskiwany w sposób, który gnębi dziecko i niszczy przedwcześnie siły jego umysłowe i fizyczne (prowadzenie talentu znanego Raulka Koczalskiego zasługuje na naganę); wzbraniać jednakże dzieciom zupełnie, aby nigdy przed nikim nie grywały jest również nonsensem, bo wyrabia lękliwość. Znowu domagać się i w tem należy zachowania „złotej drogi środka“. W szkole Ludwika Marka wiele było osób istotnie utalentowanych — ponieważ zaś talenta te wcześnie się objawiały, więc oczywiście musiały przebyć fazę „cudowności“ — nieuniknioną prawie. Wspomnijmy tylko panią Świtalską lub Adelman-Majewską (później uczennicę Liszta).

Podobnie ma się rzecz z urządzaniem koncertów przejezdnym artystom. Bardzo łatwo powiedzieć, że ktoś robi to dla własnej reklamy, że zarabia na tem — ale trzebaż także dodać, że gdyby taki ktoś się nie znalazł, to niejedna wybitniejsza osobistość ominęłaby Lwów, położony na uboczu od głównego gościńca znakomitości europejskich. Dzięki pośrednictwu p. Marka słyszał Lwów pierwszorzędnych artystów. Wymienimy na próbkę tylko kilka ich imion: Tausig, Bülow, Zofia Menter, Essipow, Rubinstein, d'Albert, Lucca, Bianca Bianchi, Materna, Mierzwiński — oto część ich tylko, a jednak szereg wcale świetny. Przyznajmy tedy, iż niezupełnie potrzebną było rzeczą pisać na afiszach, że koncert Lukki odbywa się „pod kierownictwem artystycznem p. Marka“ niemniej jednak przyjemność słyszenia śpiewu p. Lukki z doskonałym akompaniamentem p. Marka była wielką— oddajmy mu słuszność. W ogóle w stosunku do artystów pojedynczych Marek zupełnie inaczej się zachował niż Mikuli, który w złożeniu uznania komuś z nowoczesnych artystów, zawsze był i jest bardzo trudny.

Praca pedagogiczna p. Marka była również rozmaicie ocenianą, nie zawsze słusznie — postaramy się więc dać jej obraz, o ile możności dokładny.

St. Niewiadomski.

WOLNA SCENA W PARYŻU.

(Kor. własna „Myśli“).

Paryż, w październiku.

Ostatni okres nowości w „Teatrze Libre“ w Paryżu, przyniósł, jak zwykle, wielką obfitość specyfików na znieczulone nerwy Paryżan obliczonych. Pawła Ginisty „Dwoje gołąbków“, Henryka Cearda „Brzoskwinia“, Jana Julliena „Mistrz“, Eugeniusza Brieux „Kłótnie artystyczne“, Oskara Metenier „Bracia Zemgano“, Jana Aicarda „Ojciec Lebounard“, Bergerata „Meuriot“, a na samym końcu „Chleb cudzy“ Turgeniewa i „Upiory“ Ibsena, oto szereg większych i mniejszych utworów, które pomysłowy i przedsiębiorczy Antonie wprowadził na deski swej sceny.

Gdyby przyszło ściśle określić kwalifikacye, jakie postawiono sztukom wystawionym na paryskiej wolnej scenie, to z szeregu ostatnio wymienionych zaledwie kilka odpowiedziałoby recepcie literackiej, wedle której scena ta formułować winna swe wymagania i klasyfikować utwory do grania przeznaczone. O ile berlińska „Freie Bühne“ ani na jotę nie odstępuje od swego ściśle określonego programu, o tyle paryski „Teatr Libre“ znajduje się w okresie pewnego niezdecydowania. Paryzkie gusta i wymagania trudniej przystosować do skrajnych żądań i teoryj wolnej literatury i wolnej sceny; wyrafinowany na piękno, połączone z oryginalnością i ekscentrycznością, zmysł estetyczny Paryżan, każdą najtwardszą szkołę lub sektę estetyczną zapragnie wcisnąć w swe formuły. Ztąd wahanie i niezdecydowanie, ztąd te zdumiewające nielogiczności, jak wprowadzenie na scenę wolną Turgeniewa lub spaczenie pojęć Ibsena, jak tego mieliśmy dowód na dwu ostatnich premierach wolnej sceny.

Z szeregu utworów, które stanęły najbliżéj programu wolnéj szkoły, oryginalnością i śmiałością pomysłu wyróżniła się w pierwszym rzędzie jednoaktówka Ginistego: „Para gołąbków“. Trzeba było do tego pomysłowości, *pur sang* paryżanina, aby parą gołąbków nazwać dwoje skazańców z Nowej Kaledonii i uczynić ich bohaterami najczystszej, najidealniejszéj sielanki w stylu Ludwika XIV. Tendencyją autora, opartą na katechizmie młodej szkoły, była chęć zestawienia kontrastów: obrazu czystéj idealnej sielanki ze skrajnym realizmem, zaczerpniętym z życia wydziedziczonych zbrodniarzy kolonii karnéj. Widzimy tu parę, złożoną z dwojga miłujących się osobników, żyjącą cicho i spokojnie w schludnej wiejskiej chatce, otoczonéj wszelakiemi sielskiego życia rozkoszami. Tę idealną sielankę, w któréj autor roztacza prześliczny obrazek cichego i szczęśliwego pożycia dwojga skromnych istot na łonie natury, przerywa okrzyk żandarma „Nr. 207 i 208 wstawać i sunąć natychmiast do komendanta. Nie słyszeliście dzwonu, wzywającego do apelu! Tam was nauczą gruchać miłe gołąbki! I oto czytelnik z dalszego przebiegu dowiaduje się, że bohaterami utworu są skazańcy. Tendencyja idealizowania charakterów zbrodniarzy i chęć udowodnienia, że niema nic pod słońcem szlachetniejszego, lepszego i świeższego jak dusza zbrodniarza, wówczas, gdy on nim być nie potrzebuje nie mogła znaleść dosadniejszej illustracyi, lepszego wyrazu. Efekt nie zawiódł zamiarów.

Mniej szczęśliwym jest pomysł p. Cearda, który w drobiazgu scenicznym „Brzoskwinia“ dał żywcem z rzeczywistych stosunków wzięty obrazek zawiści niewieściej z powodu zwycięstwa rywalki na punkcie piękności. Mąż, podjudzony intrygą zawistnéj sąsiadki, chwyta żonę i odtrąca w sposób brutalny a sprawczyni intrygi dogryza podczas tego najspokojniéj brzoskwinię.

Ale palma pierwszeństwa w rzędzie ostatnich nowości przypadnie bez zaprzeczenia w udziale sztuce Julliena „Mistrz“, która oryginalnością tła i kolorytu, wybornem odtworzeniem psychologii chłopskiéj, a już przedewszystkiem wyborną charakterystyką typów ludowych dziwnie odcina się od dotychczasowego poziomu sztuki ludowéj.

Koloryt tu wzięty z Lotiego, ale na inny wykonany sposób. Umiera stary wieśniak normandzki. Przy łożu jego czuwają: syn „żołnierz“ i żona jego Nanetta, oboje nie ukrywający wcale, że radziby się coprędzej pozbyć starego darmozjada, aby módz żyć wygodnie i rzucić dotychczasową pracę. Ale zjawia się przybysz obcy, którego stary Heutiant każe przyjąć na nocleg, a następnie, gdy tenże umiał mu się przypodobać troskliwością o zdrowie, zatrzymuje go u siebie. Chory wskutek troskliwej opieki przychodzi do zdrowia ku wielkiemu zmartwieniu rodziny, która wysila się na to, aby przybysza, który tak niespodziewanie i niepożądanie wkradł się w łaski starego, pozbyć się z domu. Spryt jednych a podejrzliwość starego sprawiają, że zamiar się udaje. „Wy mistrzu, powiadają doń, pozwalacie na to, aby lada przybłęda przewodził w waszym domu? Czy nie widzicie że...“ itd. Starego to przekonywa odrazu. Piotr Boulas (nazwisko obcego) zostaje zwymyślany i wyrzucony — ale razem z nim uchodzi z domu ojca i córka, która zdążyła zakochać się w obcym gościu. Psychologia ludu znalazła w tej sztuce dosadny wyraz w zaakcentowaniu dwu pierwiastków na pozór znanych a jednak dotąd nie wyzyskanych: przywiązania chłopa do swego mienia oraz podejrzliwości jego względem obcych. Doskonałe uwydatnienie gwary ludowej normandzkiej i drobnych, z natury studyowanych szczegółów, czyni z tej sztuki prawdziwy dokument życia.

Z następnych sztuk już ani Brieux'go „Kłótnie artystyczne“ malujące zawiści i intrygi w światku cyganeryi lite-

rackiej i artystycznej, ani „Bracia Zemgano“ będący słabo wyretuszowanym obrazkiem życia ze sfer akrobatów i gimnastyków, zakończonym krwawym efektem śmierci linoskoka na scenie, nie posiadają odpowiednich warunków do zajęcia poważniejszego miejsca w repertuarze wolnej sceny. A jeżeli w obu wymienionych da się jeszcze odnaleść tu i owdzie czynnik żywszy, choćby na wstrząśnięcie silne nerwów obliczony, to zgoła już pozbawionem wszelkich warunków, składających *credo* wyznawców wolnej sztuki jest dzieło Aicarda „Ojciec Lebounard“. Wprowadzając tę sztukę na repertuar „Teatru Libre“ Antonie dogodził autorowi wynagradzając go tem za odrzucenie tej sztuki w komedyi francuskiej. Sztuka ta jest prototypem produkcyi epigonów Dumasa. Treść opowiada się krótko. Córka pani Lebounard kocha niejakiego André, który ma tę ujemną stronę, że jest dzieckiem nieprawem. Matka, której związek ten nie dogadza, w gwałtowny sposób sprzeciwia się temu zamęźciu córki, motywując to pochodzeniem przyszłego zięcia. W chwili, gdy i syn Robert w zapędzie moralizatorskim popiera matkę — ojciec Lebounard, dotąd milczący, jednem wykrzykiem: „Milcz bękarcie“! rozwiązuje kwestyę. Treść powyższa, rozsnuta na 5 aktów napisanych nużąco, sama przez się świadczy o ubóstwie pomysłów, a efekt końcowy, lubo nieprzewidywany, nie ratuje całości, a tem mniej nie nadaje sztuce piętna szkoły młodej. Ostatnia z oryginalnych sztuk „Myrane“ Bergerata osnuta na niewyczerpanym temacie męża, żony i „tej trzeciej“ dowodzi, nie wiedzieć już po raz który, odwiecznej tezy, że w walce między żoną i kochanką, druga, choć czasem bardziej kochana, musi wyjść pokonaną. Jakim sposobem sztuka ta znalazła się na repertuarze wolnej sceny, wątpić należy, czy sam Antonie umiałby odpowiedzieć.

Jako pionierzy i pośrednicy między południem a północą przewinęli się na ostatnim flanku: Turgeniew i Ibsen. Pierwszy ze sztuką „Na cudzym chlebie“, drugi z „Upiorami“. Turgeniew pragnie dowieść, że różnica pojęć, wychowania i inteligencyi niweczy nawet głos krwi i kopie nieprzebytą przepaść między ojcem a córką, a znalazł w tem twierdzeniu dzielnego sekundanta w Lemaitrze, który to samo twierdzenie wypowiada w swej „Zbuntowanej“.

Ibsena wielbią we Francyi — ale zupełnie nie rozumieją. Krytyki, jakie się pojawiły przed i po wystawieniu „Upiorów“, nie wyjmując nawet sądów Lemaitre'a, dowiodły tego aż nadto wyraźnie. Zbyt rażące są różnice w charakterze twórczości skandynawskiej, aby je złagodzić mogła nawet francuska przyprawa, w jakiej paryżanom strawę tę podają. Ibsena źle rozumiano, źle grano, a najgorzej osądzono, może właśnie dlatego, że w gołosłownych pochwałach przesadzono, a w uzasadnieniu pochwał rozminięto się z ideami tego pisarza. *P.*

MISCELANEA.

*** „Krakowianka“. Pod tym tytułem wyszedł w Krakowie kalendarz illustrowany na rok 1892 i zawiera oprócz zwykłego kalendaryum (przyozdobionego odpowiedniemi winetkami), utwory znanych autorów, jako to: Adama Asnyka, Bałuckiego, Blizińskiego, Kasprowicza, Miłkowskiego, Rossowskiego, Rychtera, Wilczyńskiego i wielu innych. „Krakowianka“ wyróżnia się nader korzystnie z pośród wydawnictw kalendarzowych. a co szczególnie na pochwałę zasługuje to: staranność wydawcy około doboru oryginalnych prac autorów, eleganckich illustracyj, jak niemniej nader obfitej części informacyjnej ułożonej, na sposób szematyzmu. Mniemamy, że tego rodzaju wydawnictwa mogą zawsze liczyć na pokup. „Krakowiance“ możemy wróżyć wielkie — dodajmy zasłużone — powodzenie.

*** Dr. Henryk Biegeleisen napisał dla nas ciekawą rozprawkę o genezie Mickiewiczowskiego wiersza: „Do matki Polki“, której druk wkrótce rozpoczniemy w łamach „Myśli“.

*** Nakładem wielce ruchliwej księgarni T. Paprockiego i Sp. wyszły w ostatnich tygodniach następujące nowości: „Po złote runo“, powieść T. Jeske Choińskiego; „W sprawie alkoholu“ (odczyt prof. Bungego, w tłóm. M. Flauma), „Bohaterowie“ T. Carlyle'a „Podręcznik do nauki literatury powszechnej“ ułożony przez T. Prażmowską.

*** We Lwowie nakładem Gubrynowicza i Schmidta wyszła dwutomowa powieść Abgara-Sołtana (Abgarowicza) pt.: „Klub nietoperzy.“

*** Dr. Aleksander Skórski napisał rozprawę (Lwów, Gubrynowicz & Schmidt) pt.: „Jan Śniadecki wobec współczesnej metafizyki niemieckiej i dzisiejszych dążeń filozoficznych“.

*** Znana księgarnia: Seyfartha i Czajkowskiego wydała zbiór nowel zaszczytnie znanego pisarza St. Rossowskiego pt.: „Ze ścieżek życia“.

*** Wł. Motty napisał dramat współczesny w 5 aktach pt.: „Demon miłości“ (grany z powodzeniem w Poznaniu), w którym przeprowadza tezę, że prawdziwa miłość unieszczęśliwia człowieka.

*** „Dziennik Polski“ drukuje obraz historyczno-dramatyczny K. Brzozowskiego, autora „Maleka“, pt.: „Oblężenie Lwowa w r. 1648“.

*** Edmund Chojecki (Charles Edmund) napisał dramat pt.: „Jean Dhasp“. na tle przygód arcyksięcia Jana Ortha.

*** U Hachette'a w Paryżu wyszło dzieło M. Blocka pt: „Le socialisme moderne“.

*** Nakładem warszawskiego „Głosu“ ukazała się książka D. G. Ritchiego pt.: „Darwinizm i nauki społeczne“ w przekładzie p. I. K. Potockiego, tłómacza Spencera.

*** Jerzy Ebers ukończył dwutomowy romans pt. „Per aspera“.

*** Firma paryska C. Levy wydała zbiór artykułów Alfonsa Karra pt.: „Wiek mikrobów“.

*** Ludwik Proal wydał w Paryżu książkę pt.: „Le crime et la peine“ (Zbrodnia i kara). Autor oświadcza się za istnieniem wolnej woli w człowieku.

*** Powieściopisarz niemiecki E. Eckstein napisał romans pt.: Dombrowski.

*** „Świat“ poświęcił ostatnie zeszyty Elizie Orzeszkowej, z okazyi 25-letniego jubileuszu znakomitej autorki.

*** „Gesellschaft“, miesięcznik wychodzący w Lipsku, zamieszcza w dalszym ciągu artykuły p. Ignacego Suessera o literaturze polskiej. W ostatnim (listopadowym) zeszycie znajdujemy ocenę „Poezyj“ K. Tetmajera, któremu krytyk nie szczędzi pochlebnych uwag, jakkolwiek i słabe strony utworów p. T. podnosi. W obszernym rozbiorze powieści A. Nossiga: „Jan Prorok“ znajdujemy zwięzłą charakterystykę nowej książki autora „Tragedyi myśli“. — Rozprawa dra H. Biegeleisena o Ibsenie znajduje również przychylną wzmiankę. Artykuł kończy się ustępem poświęconym literaturze obchodu 100-letniej rocznicy konstytucyi 3go maja, z której p. S. wyróżnia pochlebnie rozprawy: Sokołowskiego, Finkla, Balzera i oraz wydawnictwo jubileuszowe K. Bartoszewicza.

*** Stuletnia rocznica urodzin Al. hr. Fredry przypada dnia 20 czerwca 1893 r. We Lwowie zawiązał się komitet, celem urządzenia odpowiedniej uroczystości i postawienia pomnika głośnemu komedyopisarzowi.

*** Nakładem firmy „Pośrednik“ ma wkrótce ukazać się „Cham“ E. Orzeszkowej z przedmową hr. L. Tołstoja. oraz „Placówka“ Prusa.

*** Znakomity uczony i bibliograf p. Zegota Pauli napisał ulotne pismo, dowodzące na podstawie dokumentów historycznych, przynależności Morskiego Oka do Polski.

*** Pod tytułem: „Zygmunt Sierakowski, naczelny wódz Żmudzi w r. 1863“, wydało Towarzystwo im. Staszica we Lwowie dziełko, napisane przez Wacława Koszczyca.

*** „Słowo o romantyzmie“, gawęda literacka Zygmunta Kaczkowskiego, drukowana w fejletonach „Gazety narodowej“, wyszła w osobnej odbitce.

*** P. Alfred Konar wydał w Warszawie zbiór nowel pt.: „Przed ślubem“ i powieść pt.: „Bankruci“. Autor posiada trochę talentu gawędziarskiego, obraca się jednak zawsze w kole przestarzałych tematów, i dlatego jest szablonowym, a często nudnym.

*** P. F. Hősick drukuje w „Przeg. Tyg.“ dłuższą nowelę pt.: „Opętany“.

*** Zjednoczone Towarzystwo Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie ogłasza konkurs na projekt stylowej restauracyi późnogotyckiej przybudowy, czyli kaplicy zwanej „Ogrojcem“, połączonej z przedsionkiem do kościoła św. Barbary w Krakowie.

*** Fragment rękopisu najstarszej polskiej biblii, tz. szaroszpatackiej, odkrył we Wrocławiu prof. Uniwersytetu warszawskiego Wierzbowski. Wygląd karty pergaminowej, według relacyi prof. Wierzbowskiego, jaką złożył uniwersytetowi i szczegółowo opracował dla wydawnictwa prac filologicznych kasy Mianowskiego, niezbicie dowodzi, że karta pochodzi z biblii szaroszpatackiej, porównanie zaś podobizn z wzorami pisma, podanymi przez prof. Antoniego Małeckiego, wskaże każdemu, że fragment pisany był ręką pisarza, od którego pochodzi największa część ocalałego rękopisu biblii, mianowicie karty 95—185. Był nim, według przypuszczenia prof. Małeckiego, ów Piotr z Radoszyc, który, jak świadczy Turnowski, pisał dla królowej Zofii biblię, tłumaczoną na język polski przez Andrzeja z Jaszowic.

*** Wybór pism znakomitej powieściopisarki angielskiej George Eliot (Marya Anna Evans) ukazał się w Warszawie, nakładem księgarni wydawniczej S. Lewentala. Książkę poprzedza wstęp krytyczny p. W. Marrené. Głośna autorka „Adama Bede“ zachwycała jędrnością pióra tak wybrednego znawcę, jakim był Dickens.

*** W Kopenhadze obchodzono 25-letni jubileusz działalności literackiej Jerzego Brandesa; w bankiecie uczestniczyło 450 dam i mężczyzn; August Strindberg wręczył srebrny wieniec jubilatowi; Taine, Ibsen, Björnson, Kjeland, Jonasz Lee nadesłali telegramy; po bankiecie odbył się korowód z pochodniami, urządzony przez tysiąc osób.

*** W dniu 13 października obchodził w Berlinie 70-rocznicę urodzin Rudolf Virchow. Całe uczone Niemcy, Anglia, świat cały brały udział w jubileuszu, z wyjątkiem sfer urzędowych berlińskich; uroczystość zakończyła się komersem w sali Krola.

*** Teatr nadworny w Dreznie przystąpić ma na wiosnę do wykonania rzeczy, która jeszcze nie była widzianą na żadnej scenie i zapewne zwróci na siebie uwagę najszerszych kół artystycznych. Mają to być w jednolitym cyklu przedstawione wszystkie sztuki Szekspira w opracowaniach scenicznych najwybitniejszych dramaturgów niemieckich. Przygotowania już się rozpoczęły i w miarę jak pewna sztuka będzie wyuczoną, ukazywać się będzie na deskach teatru w ciągu zimy, celem pokonywania nastręczających się trudności technicznych.

*** Koncert p. Fillipi Myszugi w Krakowie był wielkim dla znakomitego artysty tryumfem. Sympatyczny tenor śpiewał z zapałem, który udzielił się licznemu audytoryum. P. Myszuga udaje się obecnie do Pesztu, gdzie występować będzie w nadwornej operze.

*** „Moja kuzynka“ komedja Meilhaca, wystawiona w sobotę na krakowskiej scenie należy do rzędu pospolitych fars, odznaczających się dobrą robotą sceniczną. Rolę tytułową doskonale odegrała p. Siennicka.

*** W Wiedniu zmarł: ks. Konstanty Czartoryski.

*** W Niemczech wzbroniono wystawienia sztuki H. Hopfera pt.: „Bogini rozumu“.

*** W Sukiennicach wystawiono nowy obraz Matejki: „Ogłoszenie konstytucyi 3 maja“, którego krytykę pomieściliśmy już w „Myśli“.

*** Portret Cezara Borgii, słynne dzieło Rafaela nabył baron Alfons Rothschild w Paryżu.

*** W Lipsku zmarł słynny germanista, redaktor „Literatisches Centralblatt“: dr. Fryderyk Zarncke.

*** W Ligornetto zmarł rzeźbiarz włoski Wincenty Vela.

*** We Lwowie zmarł Karol Widman, niegdyś wydawca „Postępu“ i „Tygodnika lwowskiego“.

*** Świat muzykalny z upragnieniem oczekuje nowej opery Mascagniego, kompozytora muzyki do „Cavalleria rusticana“ pt.. L'amico Fritz. Libretto tej opery — która ma być wkrótce wystawioną w Berlinie, osnute jest na tle sztuki ludowej Erkman-Chatriana.

*** Popiersie Adama Mickiewicza, dłuta M. Guyskiego, będzie nabyte drogą składek publicznych i umieszczone na Wawelu.

*** P. Zygmunt Noskowski zamierza urządzić w Wiedniu, podczas wystawy teatralno-muzycznej — wielki koncert, przy współudziale pierwszorzędnych sił polskich.

*** P. Edward Porębowicz, tłómacz „Don Juana“ Byrona i Leopardiego, objął kierownictwo działu teatralnego w „Czasie“.

*** W teatrze „Odeonu“ w Paryżu urządza dyrektor Porel szereg przedstawień (po dwa tygodniowo), które obejmą cały teatr francuski od początku XVII wieku aż do naszych czasów. Z każdej epoki zostanie przedstawiona typowa sztuka, a każde przedstawienie będzie poprzedzone konferencyą p. Brunetiére, sławnego krytyka „Revue des deux Mondes“. Tym sposobem będzie to rodzaj praktycznego i ilustrowanego kursu historyi literatury dramatycznej.

*** Z Akademii Umiejętności. Na walnem posiedzeniu administracyjnem Akademii Umiejętności, odbytem w dniu wczorajszym wybrani zostali:

Na wydziale filologicznym: na członków czynnych zagranicznych: Dr. Aleksander Brückner, prof. uniwersytetu w Berlinie; Stojan Novaković, pełnom. minister. i poseł nadzw. króla serbskiego w Konstantynopolu; na członka korespondenta: Karol hr. Lanckoroński. — Na wydziale historyczno-filozoficznym: na członków czynnych krajowych: Dr. Franciszek Kasparek, prof. uniwersytetu Jagiellońskiego; dr. Stefan Pawlicki, prof. uniwersytetu Jagiel.; na członka czynnego zagranicznego: Dr. Adolf Pawiński, prof. uniwersytetu w Warszawie; na członka korespondenta: Henryk Lisicki.— Na wydziale matematyczno-przyrodniczym: na członków czynnych krajowych: Dr. Benedykt Dybowski, prof. uniwersytetu we Lwowie; dr. Napoleon Cybulski, prof. uniwersytetu Jagiel.; dr. Emil Godlewski, prof. uniwersytetu Jagiel.; na członka czynnego zagranicznego: dr. Mendelejew, b. prof. uniwersytetu w Petersburgu; na członków korespondentów: dr. Antoni Wierzejski, prof. uniwersytetu Jagiel.; Władysław Gosiewski.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tałczeński.**